

Święta – tożsamość – nadzieja. Przedświąteczny wywiad z pisarką Anną Dziewit-Meller

Z Anną Dziewit-Meller – pisarką, dziennikarką, pochodzącą z Chorzowa autorką książek o Śląsku (m.in. „Od jednego lucypera”, „Góra Tajget”), rozmawia Łukasz Zych.

Pani Redaktor – kutia, czy moczka? Co znajdziemy u Pani na wigilijnym stole?

Nie ma ani kutii, ani moczki (śmiech)... Są makówki, czyli masa makowa z bakaliami. Moczki akurat w naszej rodzinie nikt nie lubił, i gdy babcia ją czasem robiła, to wszyscy kręcili nosem. Natomiast kutii nie robił nikt, bo po prostu nie było w żadnej z rodzin takiej tradycji. Choć przyznaję, nasza ukraińska przyjaciółka od kilku lat w prezencie świątecznym przynosi nam kutię. I ta kutia jest pyszna! Ale to prezent. Jeśli chodzi o tradycję, to nasza wigilia jest bardziej śląska niż warszawska. Ton nadaję ja i moja mama. Mój mąż jest oczywiście wykonawcą pewnych poleceń, zwłaszcza aprowizacyjnych (śmiech). Na przykład kupuje zawsze idealne śledzie.

Bardzo odpowiedzialna funkcja... (śmiech)

To prawda, i wywiązuje się z niej całkiem nieźle. Natomiast wracając do dań wigilijnych, na naszym stole zawsze była, i mam nadzieję, że w tym roku również będzie, siemieniotka. To już chyba taki prawdziwy śląski hardcore... (śmiech).

Zdecydowanie! Znać przepis, kupić składniki...

Robią ją moi rodzice, którzy teraz też mieszkają w Warszawie,

więc po składniki jeżdżą na Śląsk. Zazwyczaj przy okazji Wszystkich Świętych, odwiedzin grobów, kupujemy siemię do siemieniotki.

Na czym jeszcze ta „śląskość” Wigilii polega. Które zwyczaje zabraliście ze sobą?

Tak naprawdę zawsze była ona pewnym łamańcem. Nawet kiedy mieszkałam na Śląsku z moją rodziną, to święta obchodziliśmy w domu dziadków, którzy nie byli Ślązakami. Babcia pochodziła z Sosnowca, dziadek był, jak to czasem mówimy, „z Polski”. Ale że od wczesnych lat 50-tych mieszkali w Chorzowie, to choć te tradycje zawsze były przemieszane, to jednak przebywanie przez tyle lat w tym otoczeniu siłą rzeczy śląskie tradycje czyniło najmocniejszymi. Stąd siemieniotka, zupa bardzo pracobłonna, jadana tylko tu, raz do roku.

Później przywędrowały kolejne tradycje. Biały barszcz, kapusta z grochem, której się u nas nie jadło, bo zawsze była tylko kapusta z grzybami. Pojawiały się też kolejne rzeczy, jakiś nowy rodzaj śledzi, karp po żydowsku na słodko. Menu zaczęło się rozszerzać, kolejne potrawy wchodziły do naszej wigilijnej tradycji na zawsze, bardziej rodzinnej, domowej niż regionalnej.

To przenikanie się różnych miejsc, Chorzów, Sosnowiec, inne regiony kraju, czy to tylko wzbogacało, czy jednak rodziło jakieś napięcia?

Oczywiście, że były też napięcia. Kiedy się siedzi przy stole i rozmawia na przykład o historii albo polityce, to czasem dochodzi do napięć w ocenie pewnych wydarzeń czy ludzi. Taką na przykład polaryzującą osobą przy stole bywał Kazimierz Kutz. Różne „części” mojej rodziny oceniały go w różny sposób.

Ale jednocześnie Śląsk wszystkich przygarniał. Moja babcia, choć pochodziła z Sosnowca, całe dorosłe życie mieszkała w Chorzowie, była lekarką ginekolożką w Szpitalu Miejskim i w przychodni. Dziadek był ordynatorem w szpitalu zakaźnym w

Chorzowie. To byli ludzie bardzo mocno z Chorzowem związani. Do dzisiaj zdarza mi się, że na przykład wiele lat po śmierci dziadka piszą do mnie i wspominają go pielęgniarki, z którymi pracował czy pacjenci. To niesamowite, że ludzie, którzy nie byli stamtąd, zostali tak dobrze przyjęci, stali się częścią tej społeczności. Bardzo to w Śląsku szanuję i Kocham, że możesz zostać przez ten Śląsk adoptowanym.

Pani też się wychowała w Chorzowie.

I na Bytkowie. Bytków, Siemianowice, to też ważna część mojej historii.

Oczywiście. Ale wyjechała Pani stąd, idąc na studia, do Krakowa. Pamięta Pani siebie wtedy? Z jakimi myślami Pani wyjeżdżała ze Śląska?

Tak. Zdałam maturę w 2000 roku. To był taki ciekawy czas. Jako kraj szykowaliśmy się do wejścia do Unii Europejskiej. Wszystko się wtedy otwierało, stawało bardziej możliwe. Mniej się wtedy myślało, skąd się jest, bardziej dokąd można pójść. Kiedy jest się młodym człowiekiem, to skąd jesteś, nie jest chyba aż tak istotne. Tak na pewno ja wówczas czułam. Człowiek nawet chce się trochę odciąć od tej historii, która się za nim ciągnie. Pamiętam siebie taką.

Przychodzi jednak taki moment, kiedy do tego domu zaczyna się wracać, zaczyna się tęsknić. Pamięta Pani, kiedy przyszedł ten moment u Pani?

Najwięcej o tym skąd jestem, kim jestem, zaczęłam myśleć, kiedy zaczęłam pisać powieści – a wszystkie moje książki dzieją się na Śląsku. Zbiegło się to zaś w czasie z tym, kiedy zaczęłam być matką, a to jest taki moment, kiedy zaczynamy stawiać sobie pytania o tożsamość: kim jestem ja i kim będą moje dzieci. Myśli się o swoim dzieciństwie, jak się było wychowywanym i co nam dał albo zabrał dom rodzinny. To wszystko zmusiło mnie do takiego duchowego, mentalnego powrotu na Śląsk.

No tak. Wszystkie Pani książki dzieją się na Śląsku, zahaczają o Śląsk. Z czego to się bierze? Czy to tylko osobisty sentyment do regionu? Czy raczej Śląsk jest taką skarbnicą, do której można sięgać?

I jedno i drugie. Z jednej strony – zawsze koszula bliższa ciału. Z drugiej strony, Śląsk, wtedy gdy debiutowałam w 2012 roku, jak i teraz, jest obszarem wciąż do odkrycia. Jest to miejsce w pewien sposób tajemnicze, jak wszystkie pogranicza, które są niby cały czas w tym samym miejscu, ale nieustająco są w ruchu, zmieniając swoją przynależność państwową czy kulturową, obszary o płynnych granicach, gdzie po prostu jesteś przede wszystkim „tutejszy” i to jest najważniejsze. Te wszystkie napięcia, które generowała historia tego regionu, od setek lat – są fenomenalne dla twórców – naprawdę.

A czy może Pani zdradzić, czy jest w Pani głowie jakaś część tej śląskiej historii, którą zamierza Pani literacko poekspluatować?

Nie... (śmiech).

Ale nie chce Pani zdradzić, czy nie chce Pani eksploatować? (śmiech)

Nie no, pewnie jeszcze będę eksploatować nie raz, bo jest co. Piszę teraz kolejną książkę. Tam motyw śląski jest, ale bardzo specyficzny i szczególny. Nie chcę na razie o nim mówić, bo jeszcze mi ktoś pomysł ukradnie i co wtedy? (śmiech).

Jasne. Wiele Pani książek, ich fabuła, dzieje się w dwóch czasach równocześnie. Jest element współczesny i jest jakaś historia, która dzieje się kilka dekad wcześniej, w czasie wojny lub tuż po niej. Tak skonstruowana jest „Góra Tajget” czy „Od jednego lucypera”. Czy jest z nami, ludźmi tak, że z jednej strony żyjemy tu, w tym świecie i teraz, ale żyją w nas te historie sprzed dekad, one nas kształtują, determinują?

Jestem przekonana, że tak. Zwłaszcza, że my jako naród mamy

bardzo dużo nieprzepracowanych, nieopowiedzianych historii. Boimy się ich, bo są trudne i bolesne i dlatego wolimy, aby były gdzieś głęboko schowane. A jak wiemy, trupy w szafie mają to do siebie, że w końcu wypadają. Jestem przekonana, że różne traumatyczne wydarzenia, których świadkami, albo nie daj Boże, ofiarami byli nasi przodkowie, rzucają cienie i na nasze życie. Poczułam to szczególnie mocno w lutym tego roku. Wydawało mi się, że to co przeżywały nasze babcie czy prababcie, kiedy Armia Czerwona wkraczała na Górny Śląsk w 45-tym roku, mocno rezonowało w nas, ich wnuczkach czy prawnuczkach, kiedy zaczęła się wojna w Ukrainie. Tak grają w nas te międzygeneracyjne przekonania, pamięć rodzinna, przekazane doświadczenia. Nawet jeśli ten przekaz odbywał się mimochodem, w milczeniu, za pomocą gestów, których znaczenie uświadamiamy sobie dopiero po latach. Dla mnie to doświadczenie było bardzo mocne w tym roku, kiedy te opowieści nagle mi się zaczęły układać, ich strach zaczął żyć we mnie samej.

Święta, wieczerza wigilijna, to też taki moment, kiedy zdarza nam się tych historii dotykać.

Święta to w ogóle taki trudny moment, w którym się mieszają dwa porządki. Popkultura nam wmawia, przez reklamę i filmy rodzinne, że to jest ten najradośniejszy moment w roku, kiedy przychodzi św. Mikołaj i dostajemy wymarzone prezenty, całując się pod jemiolą. Ale z drugiej strony okres świąt jest trudnym momentem, ponieważ to jest chwila, kiedy zasiadamy przy stole, a przecież przez cały rok generują się między nami różne napięcia. Czasami nie umiemy ze sobą rozmawiać, dzielić się opłatkiem, szczerze sobie czegoś życzyć. Czasami na wigiliach padają trudne pytania, które w ogóle nie powinny padać, typu – kiedy doczekam się wnuka, i tak dalej. To są rzeczy piekielnie trudne.

Wracając do Pani wyjazdu. Minął już od niego jakiś czas. Jak nasz region, w Pani oczach, się zmienia.

To nie jest wcale proste pytanie. On się zmienia różnie. Są miejsca, które mnie pozytywnie zaskakują. Cieszy mnie, że przemysł ciężki został w tak wielu miejscach na Śląsku przerobiony na przemysł kulturalny. Ja zresztą bardzo wierzę w moc kultury jako czynnika sprawczego rozwoju. Jestem dumna, kiedy moi koledzy i koleżanki z innych części Polski mówią, że przyjeżdżają na Śląsk na koncerty, festiwale, że to życie kulturalne, ważne też dla mnie, ono kwitnie. To jest taka niesamowita zmiana w stosunku do tego, co pamiętam sprzed 22 lat, kiedy się wyprowadziłam.

Wydaje mi się, że też w nas zaszła pewna zmiana. Czujemy dumę z tego, skąd pochodzimy, kim jesteśmy, umiemy też tę dumę zaszczerpić swoim dzieciom. Wreszcie śląskość nie jest jakąś ambiwalencją, dziwnym, odczuwanym obciążeniem, które pamiętam z lat 80-tych czy 90-tych. Nasz region powoli – z siłą inercji typową dla wielkich procesów społecznych, buduje swoją nowoczesną tożsamość. To jest dla mnie chyba najważniejsza zmiana.

A ma Pani jakieś wyobrażenie o tym, jak on się powinien zmieniać dalej?

Bardzo bym chciała, żeby ta wieść o tym, że Śląsk jest zmieniającym się, dynamicznym, bogatym w historię i różne zasoby, zielonym, otwartym, jedocześnie zanurzonym w historii i wychylonym w przyszłość, żeby ona się niosła po Polsce. To też jest rola właśnie twórców i twórczyń, filmowców, pisarzy, dziennikarzy – im/nam najłatwiej będzie ludzi przekonywać do tych miejsc. Ot choćby Nagroda Nike dla Zbyszka Rokity, za książkę *Kajś* – bardziej niż wszystkie kampanie reklamowe świata zwraca oczy ludzi na Śląsk.

Wigilia AD 2022 – jaka ona powinna być? Z czym usiądziemy do stołu?

Mam nadzieję, że usiądziemy, mimo wszystko, z wdzięcznością za to, że... (chwila zastanowienia) możemy w ogóle usiąść do tego

stołu. Z wdzięcznością za to, że przetrwaliśmy ten super trudny rok. To był piekielny rok, umówmy się. Taka kumulacja nieszczęść zdarza się rzadko. Za mojego życia – chyba nigdy. Powinniśmy sami sobie być w głębi serca wdzięczni, że udało nam się to przetrwać. Chciałabym, żebyśmy siadali z nadzieją, że przyszły rok przyniesie zmiany na lepsze, wreszcie. Wdzięczność i nadzieja – one nas mogą w tym trudnym czasie ocalić.

Filozof Tomasz Stawiszyński w swojej ostatniej książce pisze, że jednym ze sposobów przetrwania tego trudnego czasu, regułą na czas chaosu, jest czytanie książek.

Na pewno!

Życzymy sobie w takim razie jak najwięcej dobrych książek, także o Śląsku. Czekamy również na Pani kolejne książki!

Bardzo dziękuję za spotkanie. Wesołych Świąt!